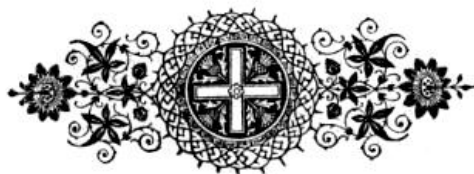


Ks. WŁODZIMIERZ LEDÓCHOWSKI SI

ROZUMNOŚĆ WIARY



KRAKÓW 2015

www.ultramontes.pl

ROZUMNOŚĆ WIARY

Ks. WŁODZIMIERZ LEDÓCHOWSKI SI

Bywały na świecie epoki wielkich przewrotów. Raz po raz chwiały się fundamenta społeczeństw wraz z całą budową politycznych urządzeń i zdobyczami wiekowej cywilizacji. Wszystko co wzniosły wieki, ulegało zniszczeniu lub przeobrażeniu; zmieniały się pojęcia, które przez długie lata panowały niepodzielnie w umysłach, ustępując miejsca nowym myślom i prądom; upadały stare, silnie, jak się zdawało, ugruntowane instytucje, a na ich gruzach powstawały nowe, aby znów kiedyś przeżyć się i runąć – jeden tylko system pojęć i jeden społeczny organizm przetrwał wszystko; z burz i przewrotów wychodził nietknięty i niezmieniony, mimo że te burze przeważnie i najsilniej w jego godziły łono.

Był to Kościół katolicki.

Nieraz wśród powszechnego zamętu przepowiadali ludzie bliski jego upadek – byli to krótkowidzący. Wszyscy, których oko głębiej i dalej sięgło, choć się nawet zaliczali do rzędu nieprzyjaciół Kościoła, dostrzegali zawsze, dawniej zarówno jak dzisiaj, że siła żywotna tej dziwnej i niezwyklej instytucji wiecznie świeża i potężna ma w sobie coś niespożytego.

Niedawno wybitne czasopismo protestanckie *Gegenwart* przypomniało tę prawdę swym czytelnikom, wskazując bardzo trafnie na niezmierną zdolność adaptacyjną Kościoła katolickiego, będącą właśnie cechą młodego, pełnego życia organizmu. Podobnież i profesor uniwersytetu w Halle, E. Gothein w jednym z najnowszych swych dzieł wyznaje, iż w naszych czasach "na każdym kroku rachować się trzeba z niezłomną siłą katolicyzmu".

Żyjemy w czasach pod wieloma względami lepszych bez kwestii, niż dawniejsze; mimo to jednak w oczach naszych coraz groźniejsze chmury skupiają się na widnokręgu. Schyłek dobiegającego do mety wieku posepny cień rzuca na dusze, a niedająca się utaić troska o jutro szarpie sercem ludzkości.

Wszystko zdaje się zachwiane, gruntu coraz mniej pod nogami, wiązania budowy społecznej coraz bardziej się rozluźniają, ściany coraz się głębiej rysują, a podwaliny od dawna już wstrząśnięte niewiele dają nadziei bezpieczeństwa.

Olbrzymi postęp nauki daje wprawdzie człowiekowi do rąk ciągle nowe środki coraz większego podbijania i ujarzmiania natury, ale na najważniejsze dla człowieka zagadnienia nauka mimo całego swego postępu nie daje odpowiedzi. Niegdyś tę odpowiedź dawała wiara – dzisiaj ona w sercach milionów, choć zewnętrznie z Kościołem może jeszcze złączonych, całkiem wygasła; w milionach innych serc, pewnie jeszcze liczniejszych, tli już tylko słabym płomykiem. Najważniejsza zasada moralna nauki Chrystusowej: prawo powszechnej braterskiej miłości, słowami bywa jeszcze uznawane, za to tym bezwzględniej i powszechniej deptane czynem. Ambicja i chciwość jednostek, błędne doktryny, na których wychowano kilka ostatnich pokoleń, doprowadziły do rozstroju interesów, a zatem i warstw społecznych, do rzeczywistej walki o byt; a kto dobrowolnie oczu nie zamyka, widzieć musi, że ta walka jest już silnie rozwiniętą i że mierności w niej ginąć muszą. Potężny obóz przyciąga tłumy ku sobie, głosząc otwarcie, że oprócz Kościoła rzymskiego już nie ma potęgi, której by się potrzebował obawiać.

W takich czasach każdemu myślącemu człowiekowi, czy on wierzący, czy niewierzący, mimo woli nasuwać się musi pragnienie bliższego przypatrzenia się temu, co jest pierwiastkiem życia, co jest duszą niespożytego aż dotąd Kościoła, fundamentem jego społecznej budowy – tym jest wiara.

Te myśli były nam pobudką, by kilka słów poświęcić jednej tylko właściwości wiary katolickiej, może bardziej od innych teraz aktualnej.

I.

Wiara katolicka jest zbiorem prawd, objawionych przez Chrystusa Pana o Bogu i naszych względem Niego obowiązkach. Te dogmaty, oparte na wierze, a dla rozumu często niedościgłe, odstręczają od Kościoła wielu ludzi dzisiejszych; oni by chcieli tylko "wiedzieć", a nie chcą słyszeć o wierzeniu. Przyjmowanie jakichkolwiek prawd inną drogą niż bezpośredniego poznania, wydaje im się rzeczą nie tylko już zbyteczną, ale wprost godności rozumu uwłaczającą, za tym oczywiście idzie odrzucenie wszelkiej wiary. Bądźmy jednak szczerymi. Czy rozumowi ludzkiemu istotnie zbyteczną jest wszelka wiara, czy się faktycznie bez niej obchodzi, czy się w ogóle obejść jest w stanie? Ileż to twierdzeń

spotykamy w każdym dziele, nawet naukowym; najmniejsza broszurka, krótki tylko podręcznik sporą zawiera ich liczbę. Czy może prawdziwość wszystkich tych twierdzeń własnym rozumem przenikamy? Byłoby to bardzo naiwnym ludzeniem się co do siły i potęgi naszego rozumu. Kto tylko trochę umysłowo pracował, tego doświadczenie nauczyć musiało, jak trudno nam przychodzi przejrzeć choć nieco dłuższy szereg wniosków, łączących wynik jakiegoś rozumowania z jego bezpośrednio oczywistym punktem wyjścia. Każde prawdziwie filozoficzne badanie dochodzi do uznania tej ograniczoności rozumu ludzkiego od Sokratesa aż do naszych czasów. A jakież praktyczny wniosek wypływa z tej ograniczoności? Czy ten, że rozum służyć nam nie może poza obrębem najprostszycy prawdy, że za pomocą wnioskowania wyżej wznieść się nie potrafi? Nie, stąd wynika tylko, że pewność rozumem zdobyta w kwestiach zawilszych w stadium terażniejszego naszego umysłowego rozwoju może być tylko rzadkim zjawiskiem i że chcąc dojść do niej w nieco trudniejszych zagadnieniach, dużo mozolnej potrzeba pracy i dużo natężenia umysłowego, pochłaniającego wielki zasób energii naszego organizmu. Nie każdy ma pod dostatkiem siły fizycznej, koniecznej do tego zajęcia, nie każdy ma potrzebny do tego czas, nie każdy ochotę do takiej pracy. Dla kawałka chleba i ciężkiej się człowiek pracy podejmuje, ale niezbyt jest skłonny do natężenia umysłu, i raczej wybiera pracę zewnętrzną, aniżeli wewnętrzną, wymagającą wielkiego skupienia ducha. A więc z wyjątkiem nielicznych jednostek od natury i losu szczęśliwie uposażonych, ogromna większość ludzi, chcąc rozumnie postępować, musiałaby wyrzekać się stanowczego sądu w wielu kwestiach trudnych a przecież nader ważnych, gdyby prócz bezpośredniego poznania rozumowego nie było innego źródła zdobywania pewności o prawdzie. Nie pozostałoby nam nic innego, jak zawieszać sąd, wątpić i pocieszać się nadzieją, że ta władza poznawcza może się z czasem rozwinie, że po kilku tysiącach lat może będzie lepiej; mówię po kilku tysiącach lat, bo w tym krótkim czasie, przez który śledzić możemy rodzaj ludzki, pod względem siły rozumowej żadnego postępu spostrzec nie możemy.

Tymczasem każdy rozumny człowiek, jako część ludzkości, powinien się przyczyniać, wedle sił, do ogólnego postępu. To zdaje się jasne. Ale jak? Niezawodnie całym swym życiem. Cóż kiedy do tego życia o wiele więcej rozmaitych wiadomości nie tylko do działania, ale i do umysłowego kształcenia się potrzeba, aniżeli byśmy własną pracą zdobyć mogli? Wszelkie dążenie do postępu czy to w życiu praktycznym, czy umysłowym, składa się z szeregu konkretnych czynów dążących do jednego celu. Mogę nie wiedzieć, jaki środek

do celu doprowadzi, ale chcąc cel osiągnąć, muszę koniecznie coś wybrać, muszę przynajmniej czynem wyjść z tego zawieszenia sądu. Dlatego w praktyce tak postępujemy, że prace między siebie dzielimy. Zadaniu, któremu jeden rozum nigdy by nie podołał, rozum wielu ludzi podołać może. System podziału pracy doprowadza na wszystkich polach, nie wyjmując nauki, do wielkich rezultatów. Nauki podzielone na liczne gałęzie, pozwalają jednostce skupić energię i bystrość umysłu, na jeden punkt. Stąd taki zadziwiający postęp w pojedynczych dziedzinach wiedzy ludzkiej. Ale właśnie ten wzrost ogólnego zasobu wiedzy wymaga, abyśmy się coraz więcej spuszczaali na badania innych ludzi, znanych nam z nauki i sumiennosci, innymi słowy, żebyśmy im wierzyli. Prawda, że jasne zbadanie i przedstawienie zawiłych zagadnień przez jednych ludzi niemało ułatwia drugim samodzielne poznawanie takowych, strzeże ich od błędnych manowców i wskazuje najprostszą drogę do prawdy. Ale to ułatwienie nie zdaje się być w prostym stosunku do liczby prawd przez ciągłe badania zdobywanych, tak, że postęp wiedzy wcale się nie przyczynia do powiększenia samodzielności i niezależności rozumu ludzkiego. Owszem śmiało powiedzieć można, że bez tej wiary czyli przyjmowania zdobytych prawd od drugich wiarogodnych ludzi, nauki byłyby niemożliwe, niemożliwy wszelki postęp.

Że ludzie aż dotąd tak postępowali, że każdy z nas tak postępuje, to zupełnie jasne; ale czy ten sposób postępowania, to spuszczenie się na zdanie drugich i przyjmowanie pewnych twierdzeń za prawdziwe na tej podstawie, że drugi je zbadał, jest rozumnym? Wskazaliśmy już, że bez takiego dopomagania sobie rozumem drugich, wszelki postęp byłby prawie niemożliwy; a można po prostu powiedzieć, że niemożliwym by było żyć rozumnie. Nie mogąc przekonać się własnym badaniem o prawdzie potrzebnej nam do rozstrzygnięcia jakiejś sprawy a nie mając innego źródła poznania prawdy, musielibyśmy spuścić się na ślepy przypadek, działać na chybił trafił, albo oprzeć się może na jakimś tajnym instynkcie, a takie postępowanie oczywiście rozumnym by już nie było. Zresztą i pozytywnie wykazać można, że wzbogacanie się prawdami przez innych zbadanymi jest działaniem rozumnym. Wierzyć drugim nie zawsze jest rozumnym, ale nie wierzyć w pewnych danych okolicznościach, to się już najoczywiściej rozumowi sprzeciwia. Przecież niejednokrotnie możemy być pewni, iż zła wola żadnego wpływu na świadectwo drugiego nie wywarła, a powątpiewać o jego zdolności poznania prawdy, kiedy wszystkie warunki były po temu, by człowiek rozumny mógł ją poznać, traciłoby sceptycyzmem. Kto by opowiadaniu drugich nie wierzył, że Rzym istnieje, ten by zwiedziwszy Wieczne Miasto takim samym prawem musiał wątpić o jego istnieniu. Tak więc

i rozum i potrzeba życiowa każą nam wierzyć ludziom, kiedyśmy się o ich wiarygodności przekonali. To zaufanie wzajemne, które nazwać możemy wiarą ludzką, będzie jednak zawsze według natury prawd i ludzi mniej lub więcej ograniczone. Kiedy zaś Najwyższa Istota, Bóg, przemawia, wtenczas rzecz jest oczywista, że trzeba wierzyć bez wszelkiego zastrzeżenia, jeżeliśmy się tylko przekonali, że prawdziwie Bóg przemówił, że coś objawił. Kto by nie wierzył takiemu świadectwu, ten by i świadectwu własnego rozumu wierzyć nie powinien, co jest absurdem logicznym.

Tak więc z ograniczoności naszego rozumu wynika, że często zadowalać się musimy poznaniem prawd nie przez własne badanie, ale przez wiarę. To poznanie wiarą, choć ostatecznie opiera się na rozumie, jest z natury swojej niższym rodzajem poznania; przypomina nam naszą nieudolność umysłową, jest dla rozumu, któryby chciał wszystko bezpośrednio i samodzielnie poznać, upokarzającym. Ale odrzucić go, bez kłamstwa i zuchwalstwa nie można. Ubóstwienie rozumu uważa się dzisiaj powszechnie za grubą błąd. Gdyby to przekonanie było nie tylko teoretycznym ale i praktycznym, to największa przeszkoda dla wiary u bardzo wielu byłaby usunięta.

II.

Jednak wiara katolicka nie tylko dlatego się nie podoba, że nie jest rozumowym prawd poznaniem, ale też dlatego, że w ogóle prawdy i to po największej części niedościgłe w sobie zawiera. Jasną jest rzeczą, iż każdy przesadny sceptycyzm wierze się sprzeciwia. Mówię przesadny, nierozumny; bo sceptycyzm w pewnym ograniczonym znaczeniu, jako zasada, że nie trzeba zbyt łatwo przyjmować czegoś za prawdę niezbitą, albo za fałsz oczywisty, że trzeba niejako "podejrzewać to, co uchodzi za prawdę oczywistą" (*auch gegen das Selbstverständliche misstrauisch sein*) – jak mówi Nordau – powinien być fundamentalną zasadą każdego rozumnego człowieka. Trzeba jednak wystrzegać się zbyt elastycznego stosowania tej zasady, by nie dojść do bezwzględnego sceptycyzmu, który jako system, jako teza sam ze sobą jest w sprzeczności, boć wiadomo, że każdy, co choć jedno stawia twierdzenie, ten już faktycznie uznaje zdolność umysłu ludzkiego do poznania prawdy i zarazem stwierdza podstawowe pewniki myślenia. Nie tak daleko jednak idzie sceptycyzm, który w naszych czasach tyle umysłów opanowywa. Przyznaje on w ogóle umysłowi ludzkiemu zdolność do poznania jakiejś prawdy, ale ogranicza ją wyłącznie do świata zewnętrznego, może lepiej powiedzieć,

doświadczalnego (1). Jeżeli tylko kto z tej sfery empirii wychodzi i puszcza się na pole metafizyki, to zaraz spotyka się z dość powszechnym niezaufaniem. Czy w rozumie szukać źródła tego stanu umysłów, czy w woli żądnej zbytniej wolności, lękającej się nawet stałości prawdy – trudno rozstrzygnąć. W każdym razie jest to teoria dla woli wygodna, niczym jej nie krępująca, uwalniająca przynajmniej pozornie rozum od wszelkiej niekonsekwencji w kwestiach najczęściej poruszanych; tej niekonsekwencji, której ścierpieć nie możemy, jeżeli ją nawet sami w sobie spostrzegamy, a której zarzut nas najbardziej razi.

Kto się bliżej tej teorii przypatrzy, zobaczy, że i ona zawiera w sobie logiczną sprzeczność. Naprzód same nawet fakty doświadczalne nie dają się logicznie stwierdzić ani zaprzeczyć bez pewników metafizycznych (2); a po wtóre każdy, co twierdzi, że poza sferą doświadczalną jest coś, czego żadną miarą poznać nie można, jak to agnostycy terażniejsi utrzymują, ten już sam o metafizyce rozprawia, uznaje, że jakoś niedoświadczalny świat poznać można, bo nie poznawszy go zupełnie nie mógłby mówić o jego istnieniu. Logicznie z tych teoryj wynikać powinna rozumowa pokora. Ale między wszelką afirmacją lub negacją teoretyczną a praktyczną jest głęboka przepaść. Można wprowadzić w teorię zaprzeczać prawdy nawet najoczywistsze i bezpośrednio z naszej natury wynikające, ale niepodobna nie zatwierdzać tych prawd w życiu praktycznym. Stąd, choć wręcz się neguje wszelką możliwość badań metafizycznych, choć coraz mniej umysłów zajmuje się nimi bezpośrednio, przecież prawie nikogo nie ma, któryby – naturalnie tylko mimochodem z okazji nowych zdobyczy na polu doświadczalnym – nie stawiał twierdzeń metafizycznych, nie dogmatyzował. Zamiast z pokorą rozumu – spotykamy się z praktycznym jego wywyższeniem, z przechwalaniem się i szczyceniem z zupełnie samodzielnych badań, daleko sięgających wniosków i głębokich prawd, przy zupełnym pomijaniu teoretycznym powagi i rozumnej wiary, jako drugiego źródła wiadomości dla człowieka. Ta sprzeczność między teorią i praktyką, jak każdy fałsz, mści się; nie chcąc uznać zasad, bez których przecież żyć i działać nie można, zastosowują je oni nie rozumowo; idą za nimi instynktownie z konieczności natury, nie starając się o rozumne ich stosowanie, ponieważ rozumem uznać ich nie chcą. I tak na miejscu metafizyki gruntownej panuje dziś metafizyka niedbale, jak gdyby mimochodem uprawiana a stąd niewykończona, głębiej nieuzasadniona, jednym słowem niezdrowa, niezdolna żadną miarą zaspokoić ludzkości swymi odpowiedziami na najżywotniejsze zagadnienia, które niewycięzalną siłą rzeczy same nam się narzucają. Zamiast rozumnej wiary rozpowszechnia się coraz bardziej wiara ślepa, nierozumna, zgubna, która

jedynie człowieka upośledza. Tą wiarą kierują się dzisiaj miliony tych właśnie ludzi, którzy wiarą katolicką wzgardzili. Popularyzowanie nauki jest także po wielkiej części na takim przesadnym zaufaniu powadze oparte. Ale nie tylko w przekonaniach mas, lecz co gorsza i w życiu ludzi wykształconych, przyjmowanie za pewniki tego, co wcale jeszcze nie jest dostatecznie stwierdzonym, wielką dzisiaj odgrywa rolę. To są logiczne, nieuniknione skutki przesadnego sceptycyzmu naszych czasów. Zwracano już nieraz na nie uwagę, potępiając zarazem, acz z odmiennych przyczyn, system, który je wywołał. Jedni go odrzucają dlatego, że rozumu nie zaspokaja i stąd po wielu próżnych wysiłkach znowu doprowadza ludzi do tego, co oni niewolą rozumu nazywają, tj. do wiary. Drudzy idąc może więcej za popędami serca rzeczywiście do wiary się zwracają. Widzimy, że w ostatnich czasach na wszystkich polach, gdzie duch ludzki pracuje, powstają silne prądy skierowane ku religii i wierze. Lecz i te prądy bardzo się między sobą różnią. Ruch, któremu Lord Balfour (3) w Anglii i p. Brunetière (4) w Paryżu początek albo przynajmniej większe znaczenie nadali, coraz szersze koła ogarnia. Podniósłszy w tym samym czasie, choć zupełnie niezależnie od siebie, hasło powrotu do wiary, przewodnicy tego nowego kierunku, dowodami zaczerpniętymi ze wszystkich dziedzin nauk nowoczesnych, z wielkim dowcipem i ostrym sarkazmem wykazują niedołęstwo i próżność całej ludzkiej wiedzy rozumowej i proklamują wiarę, jako jedyną ucieczkę dla ludzkości. Ale ta wiara, do której oni zachęcają, jest wiarą opartą nie na rozumie, lecz wyłącznie na uczuciu i sercu, na pragnieniach ukrytych w każdej duszy ludzkiej, na tych ideałach szczęścia, do których instynktowo dążymy. Jest to rodzaj tzw. fideizmu, który się już często w historii objawiał, przede wszystkim u protestantów, ale nigdy nie wytrzymał zdrowej krytyki, nigdy nie był w stanie na czas dłuższy zaspokoić dusz. On tylko w chwilach przesilenia może umysły czasowo ku sobie pociągnąć; stale ich podbić nie zdoła.

Nowi ci fideiści nie są wprost przeciwnikami wszelkiego rozumowego poznania i przez to różnią się od wielu swoich poprzedników. "Nie odmawia się, mówi p. Brunetière, rozumowi właściwej mu powagi i niezależności w jego sferze, tak, jak się nie przeczy powadze doświadczenia". Nie w tym też błędzą, że pokazują nieudolność rozumu do rozstrzygnięcia wszelkich kwestyj własnym bezpośrednim badaniem. W tym znaczeniu np. nie można by nic zarzucić temu zdaniu: "Jeżeli rozum wobec doświadczenia często się myli i jeżeli nauka sama... nieraz mu to udowodniła, dlaczegożby rozum miał zawsze mieć słuszność przeciw powadze? Jakakolwiek by była wartość jego badań albo

«metod», czemuż by się miało koniecznie stosować je bez różnicy do «rozstrzygnięcia» wszelkiego sporu i wszelkich wierzeń».

Ani w tym słuszności odmówić im nie można, kiedy z historią w rękę wykazują, jak w ogóle wiara i pewien zdrowy instynkt na cały rozwój ludzkości niezmiernie wielki i pożyteczny wpływ wywierały. Błądzą jednak w tym, iż zbyt nisko oceniają znaczenie i działalność rozumu ludzkiego. Jaka np. przesada w takich słowach: "Przypatrzmy się nieco historii ludzkości; widzimy wprawdzie spustoszenia, które rozum sprawił, ale trudniej nam dostrzec co zbudował". Błądzą przede wszystkim, kiedy rozum po prostu degradują (5), nie uznając go za najwyższego kierownika naszych spraw i wykluczając go zupełnie z dziedziny wiary. Wiara, do której oni nawołują, ma należeć do zupełnie innego porządku poznania prawdy; nie wiąże się ona jako dalsze ogniwo z naszym racjonalnym sposobem myślenia, nic nie ma wspólnego z rozumem.

III.

Nie takie są zasady wiary katolickiej, tej wiary, która od pierwszych czasów swego istnienia niezmiennie trwała i żyła w umysłach ludzkich, największych geniuszów sobie podbijała, do najszlachetniejszych czynów zaparcia i poświęcenia ludzkość wiodła, która wreszcie stworzyła moralność, przed którą z podziwem schylają czoła myśliciele wszystkich wieków. Ta wiara nie jest oderwaną od rozumnego sposobu myślenia i dążenia do prawdy, lecz z natury swojej na nim się opiera. Wiara katolicka nigdy rozumem nie gardziła, uważała go zawsze za iskrę Bożą, za władzę duszy prowadzącą nas pewną drogą do prawdy, jeżeli tylko zechcemy dobrze jej używać. Ta rozumność była zawsze cechą charakterystyczną i nieodłączną naszej wiary. Nie mówię w ogóle wiary religijnej. Albowiem religie różnią się nie tylko zawartością swych nauk, tj. tym, że jedna inne prawdy do wierzenia podaje niż druga, ale różnią się także wymaganiem rozmaitego przyłgnięcia woli do podawanej nauki. Jedne żądają i starają się wyrabiać ślepe, fanatyczne przywiązanie, drugie terroryzmem zmuszają, inne znowu na samo uczucie się powołują; są i takie, co stawiając na pierwszym miejscu zasadę wolnego badania i przyjmowania tylko tego, co rozum zgłębić potrafi, wszelką wiarę niszczą i dlatego, jak doświadczenie pokazuje, w czysty racjonalizm przechodzą. Sama jedna katolicka wiara wymaga wprawdzie przyłgnięcia najzupełniejszego, wykluczającego wszelkie wahanie, a przecież żąda od swych wyznawców, by szli za nią nie ślepo, nie tylko uczuciem wiedzeni, nie bez racji. A te dwa wymagania nie są z sobą

sprzeczne, bo każda prawda, nawet czysto rozumowa, jest z natury swej nietolerantną. Nie mówię tu o nietolerancji cywilnej, bezwzględnej, tępiącej i prześladowującej każdego przeciwnika, ale o nietolerancji spekulatywnej, polegającej na tym, że się nie przyjmuje niczego, co by było sprzecznym z uznaną przez nas prawdą, że się nie wchodzi w układy z teoriami, które dążą do pojednania kosztem obopólnych w dogmatach ustępstw. Taka nietolerancja jest nierozdzielnie związana z prawdą; bez niej samo pojęcie prawdy nie mogłoby się ostać. Kto na każde zawołanie jest gotów do zmiany swych przekonań, ten najoczywściej nie czuje się w posiadaniu prawdy. Zarzuca się Kościołowi katolickiemu tę nietolerancję, zarzuca mu się, że on jeden tak jest uparty, iż nie daje się użyć do transakcji; ale za mało się zwraca uwagę na to, że każda religia, jeśli chce być konsekwentną tak postępować musi, bo każda religia twierdzi, że prawdę ludziom głosi, a prawda która sama uznaje, że nie jest jedną, wyłączną – już prawdą nie jest.

Niedawno temu niemieckie czasopismo filozoficzne, wychwalając ducha naukowego i nazywając go przesadnie "religią nauk", pisało, że religia nauki nie jest w sprzeczności z dawnym duchem religijnym: jest ona prawowierną, ponieważ gotowa jest do udowodnienia swych wierzeń; jest katolicką, gdyż wszystko co się udowadnia ma powszechną ważność; nietolerantną, ponieważ prawda jest nietolerantną, nie posuwa się jednak aż do prześladowania.

A więc nietolerancja wiary katolickiej żadną miarą się nie sprzeciwia jej rozumności; zdaje nam się, żeśmy to dostatecznie wykazali; trzeba się jeszcze przekonać, czy też rzeczywiście tym przymiotem wiara nasza poszczycić się może.

Nie chodzi tu o żadną kwestię apriorystyczną, chodzi tu tylko o fakt, jakiej wiary Kościół katolicki wymaga, jaką wiarę za swoją uznaje. Prawda, że na to pytanie wielu niekatolików a może i katolików odpowiedziałyby, że Kościół katolicki wymaga wiary ślepej, tj. aby rozum nie rozbierał tego, co mu się podaje do wierzenia, ale omackiem poddawał się pod jarzmo wiary. Dlatego też nieprzyjaciele wiary (dawni i nowi) szydzą z niej, jakoby była nierozumna. Już za czasów św. Augustyna heretycy przyciągali do siebie wielu zdolnych ludzi obietnicą rozumnego wykazania prawdy, które przeciwstawiali nierozumnym przesądom katolików. "Nie z innej przyczyny, powiada ten święty (6), wpadliśmy w ręce tych ludzi (manichejczyków), jak z tej, że oni odrzuciwszy groźne jarzmo powagi, obiecywali samym czystym rozumem doprowadzić do Boga i uwolnić od wszelkiego błędu tych, co by chcieli ich

słuchać. Cóż bowiem innego zmuszało mnie... iść za nimi i pilnie prawie przez dziewięć lat ich słuchać, jeżeli nie ich zarzuty, że Kościół nas straszy zabobonami i wierzyć nam każe w to, czegośmy jeszcze nie rozumieli, gdy tymczasem oni nikogo do wiary nie zmuszają, zanimby nie zbadał dokładnie i nie poznał prawdy? Kogo by takie obietnice nie nęciły, przede wszystkim, kiedy umysł młody, chciwy prawdy... dumny". Te zarzuty już w czasach św. Augustyna były stare, bo podnosili je jeszcze gnostycy za czasów Apostołów.

Już pierwsi Ojcowie Kościoła zbijali tę "fałszywą *gnosis*" nie twierdzeniem, iż rozum w ogóle w wierze żadnego udziału mieć nie powinien, ale przeciwstawianiem "prawdziwej *gnosis*". Wiara, uczą oni, powinna być pokorną i prostą, kiedy chodzi o przyjęcie prawd, które nam uwierzytelniony poseł Boży do wierzenia podaje. Wtenczas nie powinniśmy chcieć rozumem tych prawd przeniknąć, ale mamy je przyjąć bez wahania, bez rozbierania, tak jak są, i całą duszą, całym jestestwem swoim do nich przyłgnąć, choćbyśmy nie mogli pojąć wewnętrznego ich związku i ich przyczyny. Lekkomysłne zaś badanie i roszczenie sobie pretensyj, jakoby do kontrolowania mądrości Bożej, piętnowali Ojcowie Kościoła mianem zuchwalstwa rozumu, szaleństwa, zbrodni. I tylko do tego sposobu postępowania odnoszą się znane słowa św. Augustyna: "Wierzę, abym zrozumiał", w przeciwieństwie do zasady: "Rozumiem, abym wierzył".

Pod tym względem więc Kościół od pierwszych wieków rozumowe badania w rzeczach wiary potępiał, nigdy nie pozwalał, by rozum był sędzią i ostatnią wyrocznią w dogmatach objawionych. Przy tym jednak Ojcowie przyznawali zawsze rozumowi konieczny i nader doniosły udział w sprawie wiary – i to podwójny: jeden przed przyjęciem, drugi po przyjęciu wiary. Przed przyjęciem katechumen był obowiązany przekonać się rozumowo o prawdziwości wiary, to jest nie o treści dogmatów, ale o boskości ich pochodzenia. Nie terroryzmem, nie fanatyzmem Kościół Chrystusowy nawracał, ale tak jak sam Mistrz jego, siłą przekonywującą Boskiego swego posłannictwa. Chrystus Pan żądał wiary, wiary w Siebie tak wielkiej, żebyśmy gotowi byli poświęcić dla niej wszystko, i miłość rodziców i krewnych i nawet życie własne. To rzecz zbyt znana. Ale może rzadziej się zwraca uwagę na to, w jaki sposób Pan Jezus ludzi do tej wiary przygotowywał.

Chcąc zdobyć wiarę legitymuje się z zadziwiającą cierpliwością, przede wszystkim ilekroć uczeni przeciwnicy żydowski przeciwko Jego nauce powstają. Wspaniały przykład takiego uwierzytelnienia znajdujemy u św. Jana

w rozdz. V, od w. 30 do końca. Przeciwnicy Jego uznali byli Boskie posłannictwo św. Jana Chrzciciela. Św. Jan Chrzciciel zaś wskazywał Pana Jezusa jako obiecanego Mesjasza: Pan Jezus więc logicznie na jego się świadectwo przed nimi powołuje. A gdyby tego świadectwa przyjąć nie chcieli, wskazuje swe cuda, w których Boska moc Jego tak widomie się objawiała dla ludzi dobrej woli. Nareszcie odsyła ich do Pisma św. słowami: "Rozbierajcie Pisma: bo się wam zda, że w nich żywot wieczny macie, a one są, które świadectwo dają o mnie" (7). Trudno znaleźć jaśniejszy dowód na to, że Chrystus Pan przed przyjęciem wiary wymagał współdziałania rozumu. Sam naucza i cudami swą naukę potwierdza, a ponieważ nie każdy dowód choć rozumny i sam w sobie przekonywujący z równą siłą na umysły działa, zachęca faryzeuszów, żeby zgłębiali swoje Księgi św., by przez to samodzielne badanie poznali prawdziwość Jego misji. W taki sam sposób, według tej samej rozumnej metody Chrystus Pan odpowiada na zarzuty. Choć one najoczywiściej są tylko plodem złej woli i przewrotnej sofistyki, pozwala przedkładać je Sobie, rozbiera je dokładnie i najdobitniej wewnętrzną ich sprzeczność wykazuje (8). Od Apostołów wyznania wiary wymaga dopiero po dwóch latach, kiedy już dostatecznie się mogli byli przekonać o Boskim Jego posłannictwie (9). A wreszcie wyraźnie powiada, że wiara tylko wtenczas obowiązuje, kiedy jest dowodami należycie stwierdzona (10).

Tłumaczy też Chrystus Pan najgłębsze tajemnice używając przypowieści i porównań, żeby uczniowie je pojąć mogli (11), ale tym, którym już dał wystarczające i obfite dowody swego Boskiego posłannictwa, nie pozwala żadnego krytykowania, żadnego sceptycznego rozbierania prawd nawet najbardziej niedostępnych dla rozumu ludzkiego. Tego rodzaju krytyka tak dalece Jego wierze się sprzeciwia, że woli wszystkich uczniów stracić, aniżeli na nią pozwolić (12).

Nie inaczej postępowali Apostołowie: Św. Piotr najwyraźniej w pierwszej swej mowie do żydów, św. Paweł we wszystkich swych naukach do żydów i pogan, nie chcą zabijać rozumu, ale doprowadzają ludzi rozumem do wiary, aby, jak mówią, "rozumną" była służba nasza, a wiarę nazywają "rozumnym" pokarmem duszy naszej (13). Znakiem tej niezmienionej i dziś wiary Kościoła, jest niezliczony szereg apologij katolickich. Nie było może dziesięciolecia, a teraz nie ma może tygodnia, któryby nie wydał nowej pracy apologetycznej, a celem wszystkich jest: pokazać rozumność wiary katolickiej. Zgadza się w tym punkcie wszyscy doktorowie Kościoła. Cała scholastyka i najwięksi jej

mistrze od św. Anzelma aż do jej upadku jest wielkim dowodem tego, w Kościele katolickim żyjącego przekonania.

Prawie ważniejszym jeszcze w tej kwestii jest zdanie mistyków, ludzi, którzy nie tyle nauką, co kontemplacją starali się służyć Bogu, i jakoby już z natury skłonni byli do lekceważenia rozumu. I oni uważali rozumność wiary za fundamentalną zasadę życia bogobożnego, a wszelkie kierowanie się samym tylko uczuciem, wprost potępiali. Św. Jan od Krzyża, wielki ów mistyk i brat duchowny św. Teresy, porównywa człowieka kierującego się w swych sprawach rozumem z tym, który używa rzeczywistego i zdrowego pokarmu; a w innym miejscu swych sentencji duchownych przeznaczonych jako wskazówki dla ludzi oddanych ćwiczeniom najwyższej doskonałości chrześcijańskiej, powiada: "Słuchaj rozumu i dążąc do Boga rób to, co ci wskaże, a rozum zaprowadzi cię prędzej do Boga, niż wszystkie pociechy duchowne".

A tej rozumnej wiary Kościół nie tylko żąda od uczonych, ale od wszystkich bez różnicy. Wierzyć może tylko ten, co już do używania rozumu przyszedł. Ale kto już rozumem włada, ten musi wierzyć rozumnie, inaczej wcale nie wierzy. Od wszystkich uczniów Chrystusowych św. Piotr żąda, by zawsze gotowi byli zdać każdemu sprawę "o tej nadziei, która w nas jest" (14). Między tezami, które ks. Bautain na rozkaz swego biskupa i z uznaniem Grzegorza XVI podpisał, jako odwołanie swej fałszywej nauki o rozumie i wierze, czytamy: "Nie mamy prawa żądać od niewiernego, by wierzył w zmartwychwstanie Boskiego naszego Zbawcy, zanim mu nie przedłożyli pewnych na to dowodów". A już dawno przedtem Innocenty XI, zakazał jako "gorszące i w praktyce niebezpieczne" to zdanie: "Zgoda umysłu na wiarę nadprzyrodzoną i do zbawienia koniecznie potrzebną może się ostać przy wiadomości, choćby tylko prawdopodobnej objawienia, owszem nawet i przy obawie, że Bóg może nie przemówił".

W czasie obecnym, kiedy, jak jeszcze nigdy przedtem, fałszywa gnozis zwróciła się nie przeciwko dogmatom w szczególności, ale przeciwko wierze, jako takiej, przeciw samej, że tak powiem, istocie tego aktu, który nazywamy wiarą – Kościół uroczyście przed całym światem zdefiniował rozumność wiary: "Chociaż bowiem wiara jest ponad rozumem – mówi Sobór Watykański – nigdy jednak między wiarą a rozumem nie może być istotnej niezgody, gdyż ten sam Bóg, który tajemnicie objawia i wiarę wlewa, obdarzył także ducha ludzkiego światłem rozumu: a zaś Bóg sobie samemu zaprzeczać, ani prawda prawdzie nigdy się sprzeciwiać nie może". ... "Nie tylko wiara i rozum nigdy w

niezgodzie być nie mogą, ale też wzajemnie się wspierają, gdyż prawy rozum udowadnia podstawy wiary, a oświecony będąc jej światłem rozwija umiejętność rzeczy boskich"... a "gdy je pilnie, pobożnie i trzeźwo bada, przychodzi z daru Bożego do pewnego zrozumienia tych tajemnic, nader płodnego, już to przez analogię z prawdami, które przyrodzoną zdolnością pojmuje, już to przez związek samychże tajemnic między sobą i z ostatecznym człowieka celem". Słowa te są tak jasne, że komentarza nie potrzebują. Świadczą one jawnie o tym, że Kościół teraz tak samo jak za czasów Chrystusa Pana rozumną wiarę wyznaje. Jest to jedna z przyczyn, dlaczego wiara katolicka wywiera tak głęboki wpływ cywilizacyjny na wszystkich, co ją szczerze i całkowicie przyjmują. Bo ona żąda, byśmy myśleli, byśmy nie ślepo, nie instynktownie postępowali, ale jako ludzie rozumni, świadomi przyczyn i celu, do którego dążymy.

Małe doświadczenie wystarczy, by przekonać się o tym, jak rozumnie ludzie wierzą, jak rozumnie postępują i zapatrują się na życie, na cały świat tam, gdzie przez dobre nauki katechizmowe otrzymali prawdziwe i gruntowne wychowanie katolickie. Nie tu miejsce rozwodzić się nad tym, jak nawet prości ludzie, nie posiadający nauki, rozumnie wierzyć mogą. Nie zaszkodzi jednak wspomnieć o tym, o czym u apologetów obszerne znaleźć można traktaty, mianowicie, że głębokie naukowe badania nad autentycznością Ewangelii, historią Kościoła, nieskazitelnością, jednością i harmonią jego nauki, potrzebne są wprawdzie, by wprost odpowiedzieć na podnoszone zarzuty, potrzebne według stopnia wykształcenia każdemu, by pozór prawdy nie wprowadzał go w błąd i nie oddalał od prawdy – ale do rozumnej wiary zupełnie wystarcza poznać z jednej strony zupełną naszą zależność od Najwyższej Istoty, ograniczoność naszych władz poznawczych i stąd wynikającą potrzebę wiary, z drugiej zaś tę majestatyczną powagę Kościoła, objawiającą się każdemu i wszędzie przez jedność, świętość i duchową potęgę tak, że słusznie każdy prosty czy uczoney powiedzieć może ze św. Augustynem: Panie, jeśliś błądził, idąc za powagą tego Kościoła nauczającego, toś Ty sam w błąd mię wprowadził.

IV.

Wiara katolicka nie zmieniała się przez wieki, ale myśl ludzka, ta myśl tak dziwnie niestała i potężna, tak sobie zawsze podobna i zmienna, ciągle w rozmaity sposób ją pojmowała, z rozmaitego punktu widzenia na nią się zapatrywała i stąd nowe ciągle strony w niej odkrywała. Dzisiejszy zwrot do wiary, u wielu oparty nie na rozumie, ale tylko na zgodności wiary z potrzebami

serca naszego, choć z najszlachetniejszych pobudek pochodzi, przecież zdaje się mieć i niebezpieczne strony.

Zachodzi uzasadniona obawa, że ruch ten nie doprowadzi do prawdziwej wiary, ale do jakiegoś niezdrowego mistycyzmu, który nigdy nie zdoła zaspokoić serc i umysłów. Przestrzec przed tym uważamy za obowiązek; dziś bowiem, kiedy myśl ludzka błyskawiczną szybkością po całym świecie się rozchodzi, o wiele łatwiej nowo powstające prądy nieostrożnych porywać mogą, zwłaszcza te, które odpowiadają przynajmniej na pozór krzyżującym potrzebom czasów obecnych. Sławny przyrodnik angielski, Mivart, w krytycznym rozbiorze (15) wspomnianej pracy Balfoura twierdzi, że od czasów pojawienia się dzieła Darwina "O pochodzeniu gatunków" nie było książki, która by równe wywarła w Anglii wrażenie. Słusznie można to uważać za "znak czasu". U nas ten kierunek jeszcze nie jest tak rozwinięty, ale potężny wpływ zachodniej Europy na nasze poglądy sprawi niezawodnie, że wkrótce i u nas umysły w tę stronę się zwrócą. Dlatego zdało nam się być na czasie przeciwstawić prawdziwą naukę Kościoła o rozumności wiary tym błędnym doktrynom sentymentalnym. Na tym jednak nie dosyć; trzeba jeszcze bliżej rozebrać fundamenta i dowody najbardziej ponętne tychże doktryn.

Główna siła tych dowodów jest destrukcyjna; wszystkie dążą do tego, by pokazać, że ani filozofia, ani nauki nowoczesne nie tylko nie odpowiadają na najważniejsze dla człowieka pytania, ale wprost doprowadzają do rezultatów sprzecznych z naturą ludzką, niemożliwych w swym zastosowaniu do życia praktycznego. Te dowody są częściowo znakomite, a w książce Balfoura przeprowadzone czasem z taką w oczy bijącą jasnością i logiką, iż nawet na umysł, źle do tych tez usposobiony wrażenie wywrzeć muszą. Charakterystycznym jednak ich błędem jest to, iż żadnej między fałszywą a prawdziwą nauką i filozofią różnicy nie robią, z błędów jednego systemu (naturalizmu, sensualizmu, pozytywizmu) wyciągają ogólny wniosek o nedorzeczności wszystkich, co więcej o niemożliwości jakiegokolwiek oświecenia się rozumem w najważniejszych kwestiach.

To, co Balfour o sobie powiada, że zawsze łatwiej mu było poznać błędy różnych systemów, aniżeli zawartą w nich prawdę, tego cała jego książka wymownym jest dowodem. Bystry jego umysł wyciąga śmiało ostatnie konsekwencje ze systemów, kiedy chodzi o burzenie. Nie ma przesady w zdaniu Mivarta, że pierwsze cztery rozdziały jego pracy śmiertelny cios zadały systemowi sensualistycznemu, przede wszystkim pod względem moralnym

wykazując niezaprzeczalnie jego nedorzeczność. Niestety jasność i konsekwencja opuszczają Balfoura i jego zwolenników, skoro tylko przystąpić im wypadnie do stawiania twierdzeń pozytywnych. Na ruinach, na bankructwie nauki i rozumu opiera się główna ich teza, iż oprócz rozumu drugim o wiele ważniejszym źródłem naszych przekonań jest serce, każące nam wierzyć, że dusza jest nieśmiertelna, że Bóg istnieje itd. "Rozumem – mówi Brunetière – stajemy się filozofami, geometrami, fizykami, chemikami; serce uczy nas być ludźmi, to jest nie wynosić się nad wszystko: «i to mądrość, przewyższająca niejedną inną»". Aż dotąd powierzchowna psychologia uważała jedynie rozum za źródło poznania, odtąd obok tego poznania w ściślejszym znaczeniu trzeba będzie – zdaniem Brunetièra – uwzględnić także wierzenia tj. poznanie nienależące do porządku racjonalnego, ale niemniej rzeczywiste i pewne, które zawdzięczamy powadze i uczuciu. "Pozorom racjonalnym, – powiada on – wywodom nauki przeciwstawimy inną pewność bardziej wewnętrzna, z której sprawy zdać nie możemy, a której przecież niemniej ufamy".

Ta teza ma w sobie coś ponętne, przede wszystkim dla człowieka z umysłem znękanym sceptycyzmem i sercem żądnym pokoju; podaje bowiem pozornie łatwy i prosty sposób dojścia do szczęścia, nie zmuszając przy tym do opuszczenia stanowiska sceptycyzmu. Teza to ponętne, bo się powołuje na te najskrytsze pragnienia i potrzeby serca ludzkiego, których głos tak potężny, że go ani siła namiętności, ani nic innego dotąd zagłuszyć nie zdołało. Cóż więc dziwnego, że człowieka, któremu nakazywano szydzić z tych pragnień serca w imię rozumu, mile uderza, kiedy słyszy, że i serce ma swoje prawa, że przecież "nie jesteśmy tylko rozumem". Ale pytamy się o dowody prawdziwości tej tezy, bo przecież nikt nie chce postawić zasady, iż rozumnemu człowiekowi wolno przyjmować za prawdziwe to, na co żadnych dowodów nie ma: takie twierdzenie byłoby oczywistym zabójstwem prawdy, na oścież otwierałoby bramy fałszowi i kłamstwu. A jednak fideiści nowsi tej zasadzie praktycznie hołdują. Nie chcą żadną miarą udowodnić, że ten głos serca jest czymś więcej, aniżeli próżnym przywidzeniem, że to głos natury, przez który Stwórca do człowieka przemawia; nie, tego nie chcą, dowodów żadnych z zasady nie dają, bo wtenczas (jak mówią) nasze postępowanie, nasza wiara byłaby na rozumie oparta, chcą tylko "faktami" nam pokazać, że trzeba wierzyć: Społeczeństwo istnieć nie może bez nadnaturalnej sankcji prawa moralnego, jednym słowem, bez religii; tego dowodem cała historia, a więc trzeba wierzyć. Wszystkie ideały szlachetności i cnoty, sztuki i piękna bez religii runęłyby, w poglądzie pozytywizmu i naturalizmu nie miałyby miejsca, a więc trzeba wierzyć.

Kto czytywał katolickich apologetów, temu wiadomo, że i oni często w bardzo podobny sposób potrzeby wiary dowodzą; w samej istocie jednak ich dowodzenia jest niemała różnica. Kto wierzy w Boga, Stwórcę wszechświata, jednostki i społeczeństwa, ten przyznać musi, że i te pragnienia i te ideały, bez których społeczeństwo ludzkie istnieć by nie mogło, od Boga pochodzą. Stąd natura tych pragnień była dla apologetów fundamentem wniosków rozumowych. I nowsi fideiści mimo woli wbrew swemu założeniu rozumowo z istnienia tych pragnień wnioskuje o istnieniu odpowiadających im ideałów, ale oni ten proces rozumowy ukrywają przed sobą, o ile mogą, ignorują go jak gdyby wcale nie istniał, chcąc, by serce było drugim źródłem prawdziwych przekonań, niezależnym od rozumu.

Czy sami nie widzą, że odrzucając wywody rozumowe, równocześnie wysilają się na to by nas przekonać prawdziwymi argumentami rozumowymi? Czy może tylko sugestią chcą na nas działać! Ale przecież ich celem doprowadzić ludzi do prawdy, na której jedynie oparte być może prawdziwe szczęście człowieka, a sugestia do wszystkich celów użyć się daje. Błąd tych teorii nie polega więc na tym, że się rachują ze sercem i wolą człowieka, ale na tym, że chcą zupełnie pomijać rozum, kiedy chodzi o najważniejsze prawdy. Wprawdzie sami tej zasadzie faktycznie kłamał zadają, atoli nie każdy może dostrzeże, tej niekonsekwencji, ukrywającej się pod formą dobrą i prawdą częściową, a zasada sama podnosząca pragnienie serca do źródła poznania, właśnie dla moralności, w imieniu i dla obrony której te teorie walczą, jest niebezpieczną. Serce i rozum wyszły z ręki jednego Stwórcy, stąd jak rozum żądny prawdy, tak i serce do tej prawdy, jako do swojego dobra łąnie i tylko w niej prawdziwe znajduje uspokojenie. Jest to rodzaj instynktu, ułatwiający nam nadzwyczaj dążenie do prawdy i poznanie jej, ponieważ w tej wielkiej walce o prawdę wola – jak doświadczenie stwierdza – taki ogromny ma wpływ. Ale właśnie dlatego, że posiadamy rozum, tę władzę rozpoznającą fałsz od prawdy, sprzecznym jest naszej naturze iść ślepo za uczuciami i popędami serca. Można z natury tych dążeń rozumowo wnioskować o istnieniu pewnych prawd, nigdy jednak nie można uważać tego lub owego uczucia za źródło poznania prawdy, zanim się nie pokazała jego zgodność z poznanymi przez rozum prawdami. Same dążeń serca świadczą o sobie, że koniecznie potrzebują kierownika, bo choć tylko prawda stale serce uspokaja, to przecież to serce przez chwiejność i zmienność swych uczuć samo przyznaje, iż drogi do prawdy wskazać nie potrafi. Człowiek, którego serce ręką w rękę idzie z rozumem,

najprędzej i najpewniej do prawdy dochodzi. Niekiedy i serce samo może do prawdy doprowadzić, ale ponieważ żadnych stałych i pewnych wskazówek postępowania w szczegółowych wypadkach nie daje, nie jest wodzem stałym i pewnym i dlatego też teoria oparta jedynie na sercu, żadną miarą nie może być podstawą prawdziwej moralności.

Nie dziwi mnie, jeżeli ludzie oddani innym sprawom czy praktycznym czy naukowym czasem podobnych teoryj bronią, zajmując się nimi mimochodem, nie poświęcając im ani czasu, ani pracy potrzebnej do ich zgłębiania, ale przyznaję, że trudno mi pojąć, jak ludzie światli, rozbierający te kwestie z całą uwagą i świadomością ich doniosłości, nie widzą, iż serce samo nie może być bezpiecznym przewodnikiem na drodze prawdy dla całej ludzkości, tym bardziej, że przeciwnicy z wszystkich obozów jasno wykazują bezpodstawność, sprzeczność tych teoryj.

Nie będzie może od rzeczy przytoczyć z precyzją sformułowany zarzut znanego członka Akademii nauk moralnych, p. Fouillée: "Hipoteza Mojżesza o stworzeniu, daje nam odpowiedź na pytanie, skąd jesteśmy... Ale hipoteza bramańska o emanacji i w ogóle wszystkie religie dają nam także odpowiedź na to samo pytanie... Jakim więc sposobem bez pomocy filozofii uczynimy wybór między nimi?". P. Brunetière, przeciwko któremu ten zarzut w szczególności był zwrócony, odpowiada powtarzaniem swojej tezy. Sądzę, że na tak jasny zasadniczy zarzut wypadałoby wprost odpowiedzieć albo przyznać się do błędu. Znane a głębokie słowa Tertuliana: *anima naturaliter christiana*, byłyby może pewną odpowiedzią na powyższe pytanie. Ale Tertulian mówi *anima* tj. cała dusza ludzka, nie tylko serce. Jeżeli się wyłącznie serca pytamy, to ono pod wpływem najrozmaitszych nieobliczalnych czynników, jednego do tej, drugiego do owej religii doprowadzi. Co więcej, idąc za takim wodzem, często byśmy się przeczucali z jednej religii do drugiej i niejeden by sobie własną religię utworzył. I tak się też rzeczywiście dzieje w sektach protestanckich, gdzie wiara na to zesła że się jedynie uczuciem usprawiedliwia. Brak rozumnego czynnika w wierze, sprawia też u katolików, że w walce życia nie znajdują w wierze silnej podpory, że wiara nie ma stanowczego wpływu ani na życie jednostki ani na rozwój społeczeństwa; w tym też braku po wielkiej części szukać trzeba przyczyny niezliczonych niekonsekwencji, których świadkami codziennie jesteśmy: idzie się za wiarą, kiedy nieokreślone jakieś uczucie religijne głośniejsze w duszy się odezwie ale pod naciskiem pierwszego silniejszego wrażenia prawie bez namysłu od zasad wiary się odstępuje.

Nie wątpię, że wielu katolików wierzących rzekomo li tylko dla pobudek uczuciowych, wierzy w rzeczywistości z prawdziwego przekonania rozumowego, tylko przez brak refleksji, sami o tym nie wiedzą. Ale ponieważ z nauki założyciela Kościoła katolickiego i z wyroków uroczystych soborów wynika jasno, że wiara nasza musi być rozumną, stąd obowiązek dla każdego katolika, by według wykształcenia swojego, świadomie na fundamentach rozumu wiarę swą opierał.

Ks. Włodzimierz Ledóchowski

"Przegląd Powszechny", Rok czternasty. – Tom LIII (styczeń, luty, marzec 1897), Kraków. DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI. 1897, ss. 1-22. (a)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono).

Przypisy:

(1) Nie wchodzę w rozmaite teorie o poznaniu świata tego zewnętrznego, ponieważ różnorodność tych poglądów nie ma bezpośredniego wpływu na nasz temat.

(2) Pewnik sprzeczności i zasada przyczynowości.

(3) *The Foundations of belief, being notes introductory to the study of theology*, 1895.

(4) *Rev. des deux Mondes*, 1 Janvier 1895; 15 Octobre 1896.

(5) "Choć to by mogło wyglądać na paradoks, przecież nie ma przesady w tym twierdzeniu, że chcąc znaleźć przymiot wywyższający nas najbardziej nad zwierzęta, trzeba będzie szukać go nie tyle w naszej władzy przekonywania siebie i drugich za pomocą rozumowania, jak raczej w naszym uzdolnieniu wywierania i przyjmowania wpływu drugich drogą powagi". Tymi słowami Balfour kończy najważniejszą część swego dzieła.

(6) *De utilitate credendi*, II.

(7) Jan. V, 39.

(8) Mt. XII, 1-14.

(9) Łk. VI, 13.

(10) Jan. XV, 24.

(11) Jan. XVI, 12.

(12) Jan. VI, 67 i nast.

(13) I Piotr. II, 2.

(14) I Piotr. III, 15.

(15) *The American Catholic Quarterly Review*, n. 81.

(a) Por. 1) Ks. Włodzimierz Ledóchowski SI, [*Wewnętrzna pewność aktu wiary*](#).

- 2) Kodeks Prawa Kanonicznego, [Wyznanie Wiary katolickiej.](#)
 - 3) Papież Urban VIII, Papież Benedykt XIV, [Wyznanie Wiary dla chrześcijan wschodnich.](#)
 - 4) Bp Konrad Martin, a) [Katolicka nauka wiary.](#) b) [Katolicka nauka obyczajów.](#) c) [Wyznanie wiary \(professio fidei\).](#)
 - 5) Ks. Maciej Sieniatycki, a) [Apologetyka czyli dogmatyka fundamentalna.](#) b) [Zarys dogmatyki katolickiej.](#)
 - 6) Kardynał Gousset, Arcybiskup w Reims, [Teologia moralna dla użytku plebanów i spowiedników.](#)
 - 7) Ks. Kazimierz Naskręcki, [Grzechy przeciwko wierze.](#)
 - 8) Ks. Piotr Semenenko CR, [O Wierze.](#)
 - 9) Bp Michał Nowodworski, [Wiara i rozum.](#)
 - 10) Ks. Antoni Langer SI, [Rozwój wiary.](#)
 - 11) Bp Franciszek Lisowski, [Św. Tomasz z Akwinu o rozwoju dogmatów.](#)
 - 12) Św. Wincenty z Lerynu, [Pamiętnik \(Commonitorium\). Rozprawa Pielgrzyma o starożytności i powszechności wiary katolickiej przeciw niezbożnym nowościom wszystkich kacerzy.](#)
 - 13) Ks. Kazimierz Bisztyga SI, [Trzymaj się wiary katolickiej.](#)
 - 14) O. Jan Jakub Scheffmacher SI, [Katechizm polemiczny czyli Wykład nauk wiary chrześcijańskiej przez zwolenników Lutra, Kalwina i innych z nimi spokrewnionych, zaprzeczanych lub przekształconych.](#)
 - 15) Ks. Leonard Goffine, [Nauka o konieczności wiary chrześcijańsko-katolickiej.](#)
 - 16) Abp Szymon Kozłowski, [Wykład nauki chrześcijańskiej rzymskokatolickiego Kościoła. O Wierze.](#)
 - 17) Ks. Jacek Tylka SI, a) [Dogmatyka katolicka.](#) b) [Traktat o Kościele Chrystusowym.](#) c) [O obojętności, czyli indyferentyzmie w rzeczach religii.](#) d) [O własnościach religii.](#) e) [O cnotach heroicznym.](#)
 - 18) Ks. Andrzej Dobroniewski, [Modernizm i moderności.](#)
- (Przyp. red. *Ultra montes*).



([HTM](#))